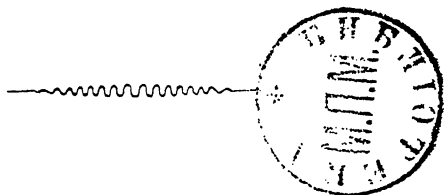


Adolf

Adolf Dygasiński.

GARSTKA.

ZBIÓR NOWEL, OBRAZKÓW I STUDYÓW.



WARSZAWA.

NAKŁADEM KSIĘGARNI

Teodora Paprockiego i S-ki.

41. Nowy-Świat 41.

—
1893.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 4 Мая 1892 года.

WARSZAWA. DRUKIEM EMILA SKIWSKIEGO.

KŁAWISZEWSKI I RÓZIA.

NOWELA.

I.

W Warszawie przy ulicy Hożej, pod sześćdziesiątym którymś numerem, miał swój warsztat ślusarz Klawiszewski. Nie był to zwykły człowiek. W piwiarniach na rogu Złotej, pod Filarkami, pod Świątełkami, znali Klawiszewskiego wszyscy, którzy tam bywali jako stali goście. Do takiego zakładu wchodził jak do domu; kelnerki już zdaleka uśmiechały się do niego, a Klawiszewski na uśmiechy odpowiadał każdej, już-to mrugnięciem oczu, już jakimś porozumiewającym przekrzywieniem ust, ruchem głowy, ręki, czasem nawet zatrzymał się na środku sali i potężnie kichnął; goście odwracali wtedy głowy i powtarzali:

— Oho, Klawiszewski przyszedł!

Jeżeli wszedł niepostrzeżony, to siadał gdzie w kącie i miauknął jak kot, albo jak koń zarżał. Zaraz go różni pozdrawiali na wszystkie strony

znaczącemi skinieniami głowy, zaraz podchodziła Andzia, Mańka, czy Frania, kładła mu poufale na ramieniu rękę i słuchała, co „stalował.“ A trzeba było znać język Klawiszewskiego, trzeba było wiedzieć, że wódka nazywa się „wódecznością,“ szynka — „świństwem,“ jaja — „kurzem mlekiem,“ piwo — „piwonią,“ wołowina — „nieboszczką krową,“ marynata z nóg — „marynią“ lub „marysią“ i t. d.

Czasem wpadał w humor, mówił przez cały wieczór żargonem żydowskim, a dokoła niego zbierali się liczni słuchacze, którzy pękali ze śmiechu. Oprócz tego, uwielbiano jego szeroką wiedzę, duży rozum, bo ile razy ktoś mu zaprzeczył i wyrwał się z własnem zdaniem, Klawiszewski zaraz go wydrwił, wycnicował, mówiąc naprzykład:

— Panie mądry, a widziałeś pan żółtego krukka? — Tak nazywał kanarka. Oponenta zaraz strapiło takie pytanie, a ślusarz potem go już dobił do reszty takim naprzykład powiedzeniem:

— Schowaj się pan pod fartuszek dziecłatki! — Albo: — Każ się pan wypchać na rzadko! — Albo: — Dymaj pan tam, gdzie białe raki zimują!

Do jednego zamawiał: „panie młody,“ do drugiego: „panie facet,“ „panie miły,“ „panie mądry“ i t. d.

Jeżeli kiedy mówił bez kpin, wpadał w entuzjazm, klął, wyrzekał i dowodził, że w kraju, gdzie jest tylu żydów, musi być źle rzemieślnikowi; wte-

dy powtarzał nieustannie wyrazy: „Ameryka, Brazylia.“ Był to trzydziestoletni kawaler, szczupły, szatyn, wzrostu średniego, o rysach twarzy regularnych, lecz nieco złośliwych.

Do Warszawy przybył z Łomży, do Łomży — z Płocka, do Płocka — z Kalisza, a przedtem bywał gdzieś za granicą.

Fach swój znał podobno dobrze, lecz mało miał roboty, i gdy do tego przyszło, strasznie się uzalał na Warszawę.

Prawie naprzeciwno warsztatu Klawiszewskiego mieszkali w kamienicy na parterze państwo Przykopowiczowie, małżeństwo bezdzietne. On — personat, chłop jak ćwik, był naczelnikiem w jakimś biurze prywatnem, posiadał nadzwyczajnie rozgałęzione stosunki i jako taki musiał bardzo często zjadać za domem śniadania, kolacyjki, grywać w wincika. Ona — chucherko, bledziutka, szczupluchna, z wiatremby poleciała; niepotrzebnie nosiła sznurówkę, bo i tak była jak nitka. Ta osoba nerwowa strasznie się tem trapiła, że mąż bardzo często wracał do domu dopiero rano, a ona w oczekiwaniu spędzała noce bezsenne.

Oprócz takiego małżeńskiego umartwienia, Przykopowiczową trapiła jeszcze obawa złodzieiów. Ciągłe sobie wyobrażała, że na nią jacyś złoczyńcy czatują. Przeczytane w *Kuryerze* doniesienia o różnych zuchwałych wypadkach kradzieży bar-